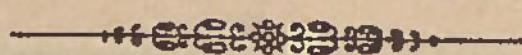
Nr. 16. Rok II.

We Lwowie 21. Kwietnia 1883.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.



Przedpłata na „ZIARNO“ wynosi:

W miejscu	rocznie:	12 zł. — na prowincji:	13 zł.
„	kwartalnie:	3 „ — „	3 „ 25 ct.

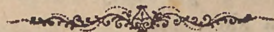
prenumeratorowie kwartalni otrzymają pierwszy kwartał „Ziarna“ za połowę ceny

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczamy INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę tak miejscową, jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.,
tudzież wszystkie księgarnie.



☛ PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE,“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

☛ Nr. 17. „Ziarna“ wyjdzie d. 28. Kwietnia 1883. ☚

Nr. 16. We Lwowie dnia 21. Kwietnia 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1^1/_2$ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli“.

V.

Pan Jacenty nosił buty wysokie, w nich szarawary, i kapotę w zimie z sukna szarego, z płótna zaś w lecie, z czarnemi pętlicami. Tą jedną częścią swego stroju różnił się od braci czynszowej, która nosiła kapotę taką samą granatową, jakiej do dziś jeszcze używają małomieszczanie galicyjscy i włościanie wielkopolscy. Głowę okrywał mu w lecie kapelusz słomiany, w zimie czapka rogata, a pas skórzany z klamrą na codzień stalową, od święta posrebrzaną, spoczywał na żupanie. Tak ustrojony, pan Jacenty uważał się już za coś lepszego, i na wszystkich panów Bereźnickich, mimo że między nimi miał krewnych nie mało, spoglądał z pewnej wysokości.

Niech co chcą mówią bezwzględni wielbiciele czasów minionych, mnie ta równość szlachecka, o której tyle nasłuchałem się za lat studenckich, jakoś dziwnie teraz wygląda. Wszyscy pisywali do siebie „panie bracie“ i w rozmowie tak się nazywali, tymczasem możnowładca spoglądał z góry nawet na takich Zamoyskich i Ossolińskich, gdy ci własnemi zdolnościami coraz wyżej się wzbijali i długo nie chciał ich uznać za równych sobie. Wojewoda, choćby najmniejszy, uważał starostę i kasztelana, za coś podrzędniejszego od siebie, starosta nie zawsze raczył spojrzeć na szlachcica wioskowego, a ten znów miał za nic szlachcica czynszowego. W teorji była więc równość, ale w rzeczywistości była stanów różnica, bez której nie sposób sobie wyobrazić najbardziej oświeconego społeczeństwa. Bo czyż jej nie ma w tych, z równości i wolności tak sławionych Stanach Zjednoczonych! Tam wyróżniają się ludzie bogactwem, a są i tacy, którzy w herbowych karetach, jakkolwiek do nich żadnego prawa nie mają, jeżdżą po ulicach Nowego Yorku. Ludzkość rozumiejąc, że każda jednostajność nosi w sobie śmierci zarody, poszukuje sama rozmaitości, która jest żródłem walki, a więc i życia.

Synowi pana Jacentego było na imię Hilary, córeczce Zofia. Dziewczynka była jeszcze malutka, ale chłopczyk odrósł już dobrze od ziemi i z gniazd w stodole zręcznie wróble wykręcał. Mimo, że skończył rok czternasty, nauk nie pobierał prawie żadnych, ojciec bowiem nie rozumiał, by większa nauka była niezbędna dla gospodarza. Przy pomocy organisty, nauczył syna tabliczki Pytagorasa, tak zwanego wówczas „Ein mal Eins“ czytać z drukowanego i trochę gryzmolić. Na tem skończyła się edukacja.

— Ej! panie Jacenty — mawiał doń nieraz ksiądz proboszcz — waszemu chłopcu dobrze z oka patrzy, widać, że nie głupi. Gdybyście go tak zaczęli do szkół posełać, kto wie, czyby się nie wydrapał na człowieka.

— Panie Boże zapłać za łaskawe słowo — odpowiadał pan Jacenty — ale ja, proszę jegomości dobrodzieja, nie mogę marnować pieniędzy, bo ich nie mam. To, co umie, niech mu wystarczy, boć i ja nigdy więcej nie umiałem, a przecież żyję. Z łaski nieboszczyka pana hrabiego — wieczne odpoczywanie, racz mu tam dać, Panie! — mamy spory kawał ziemi, którą jeżeli tylko będzie dobrze uprawiał, lepiej wyjdzie, niż gdyby został sędzią i z chłopów darł skórę.

— Dlaczego miałby być koniecznie sędzią — zauważył proboszcz. Wszak mógłby tak samo zostać urzędnikiem.

— A w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego! — zawołał pan Jacenty, z przestrachem się żegnając — co też jegomość dobrodziej mówią najlepszego! Więc mój Hilary, syn Jacentego i Katarzyny z Słupskich Bereźnicki, szlachcic z dziada pradziada, po mieczu i po kądzieli, miałby się obcym wysługiwać?? A toż wolałbym go wpierw widzieć na marach, niż doczekać się takiego despektu.. Odkąd mnie nogi noszą, a mam już przecie pięćdziesiątkę z okładem, jeszcze nie słyszałem, żeby jaki szlachcic szedł w służbę niemiecką.

— A mandatarjusze, czyż nie składają przysięgi w cyrkule?

— Prawda, że składają, lecz na sprawiedliwość Panu Bogu, nie na wierność Niemcom. Zresztą proszę księdza Dobrodzieja, sędziów nie rząd płaci, jeno szlachta. Ona też ich przyjmuje i odprawia.

Proboszcz widząc, że szlachcica nie przekona, ustąpił. Hilcio, który się rozmowie

przysłuchiwał, bardzo był uradowany, że spełzła na niczem. Jemu tak się podobała wiejska swoboda, on z takiem upodobaniem biegał z fuzyjką po polach i krzakach; on z taką radością wyglądał każdej niedzieli, aby w kościele przypatrzeć się pięknym szlachciankom, wieczorem zaś pohulać z niemi ukradkiem w gospodzie, że teraźniejszego życia nie oddałby za żadne skarby świata, tem mniej za ławki szkolne, o których po wsiach dziwne wieści krążyły. Ze słowem „szkoła“ łączyła się dyscyplina, którą profesorowie krnąbrnych uczniów do nauki zachęcają, karcer o chlebie i wodzie, i różne inne nieprzyjemności, na których samo wspomnienie Hilciowi włosy stawały na głowie.

Wolał on już od własnego ojca brać bizuny i dalej próżnować. Wprawdzie ojciec budził go ze świtem i do gospodarstwa wypędzał, lecz Hilcio tylko udawał, że ojca słucha. W polu, zamiast pługów pilnować, bawił się z pastuchami; w stodole i w stajni figlował z dziewczętami, a jeżeli tylko w lecie było gorąco, pewnie leżał pod kopicą siana i chrapał w najlepsze. Ojciec mając wzrok krótki, rzadko schwytał syna na gorącym uczynku, za to ilekroć mu się to udało, nie żałował harapa. Czasem smarował mu także plecy cybuchem, z którym nigdy się nia rozstawał. Hilcio płacząc, przyrzekał poprawę, lecz zaledwie ojciec się obrócił, robił swoje. I nie mogło być inaczej. Wszak czternastoletni chłopiec musiał być takim, jaką w owych czasach była cała młódź szlachecka, bez względu, czy pochodziła z domów zamożniejszych, czy biedniejszych. Bawić się, hulać, nic nie robić i ojcowiznę trwonić — oto cel, jakiemu się wówczas młodzież oddawała. Nie przeczę, że gdzie niegdzie znajdowały się wyjątki, ale Hilcio był stworzony na wzór i podobieństwo innych i do wyjątków bynajmniej nie należał.

Hrabia Bryński miał syna Leonarda, który acz był młodszy od Hilcia o cztery lata, dzięki bonom i zagranicznym guwernerom, umiał już niemało rzeczy przeróżnych a między temi po francusku i grać na fortepianie. Hrabina była dumna i nieprzystępna, ale hrabia miał serce otwarte, polskie. Ujrzawszy raz Hilcia w pobliżu dworskiego ogrodu, zapytał, czyimby był synem, a gdy chłopiec rezolutnie mu odpowiedział, jak się nazywa i gdzie mieszka, hrabia bardzo się tem ucieszył, pan Jacenty bowiem należał niegdyś do jego ulubieńców. Poszedł też zaraz do dawnego marszałka, a powiedziawszy mu kilka komplementów o jedynaku, poprosił go, by chłopcu pozwolił czasem przychodzić do dworu.

— Mój Leonardek — kończył hrabia — potrzebuje towarzystwa młodszego, niż jego guwernerowie, którzy jak dla niego, są zanadto starzy i poważni. Wasz chłopiec będzie mu zawsze miłym gościem.

Pan Jacenty zbyt długo był dworakiem, by mu takie żądanie nie miało sprawić przyjemności, z drugiej jednak strony zasumował się pomyślawszy, czy jego Hilcio potrafi przyzwoicie znaleść się w pałacu.

— Jaśnie pan hrabia — rzekł, do kolan mu się kłaniając — jest dla swego chudziny bardzo wspaniałomyślny i ja tego Jaśnie Panu nie zapomnę, ale lęk mnie zbiera, gdy sobie przypomnę mojego chłopca. Gdzie to takiemu urwipołciowi chodzić na pańskie pokoje. To jeszcze dzikie, zwyczajnie jak u szlachetki, a i bez matki się wychował, więc i to cóś znaczy.

— Nie troszcz się tylko o niego, mój Jacenty przerwał hrabia już ja wiem, że on nie da się zawstydzić. Ręczę, że się będzie zachowywał jak najprzyzwoiciej, a jeżeli w naszem towarzystwie coś skorzysta, tem lepiej dla niego.

— Byle mu się w głowie nie pomąciło.

— O cóż to — odparł hrabia — alboż stare przysłowie nie mówi, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie!

— Prawda, że tak mówią, chociaż na świecie inaczej się dzieje. Już to panowie zawsze panami, a chudopachołkowi do nich się nie piąć.

— Więc nie chcesz pozwolić swemu synowi, by czasem do nas przychodził?

— Uchowaj Boże! Jaśnie Panie, gdzieżbym ja śmiał odmówić. Alboż to ja nie pamiętam, com winien nieboszczykowi ojcu Jaśnie Pana hrabiego, Panie, świeć tam nad jego duszą! Ja wiem, że dla mego chłopca to wielka łaska, tylko że to do niczego, zwyczajnie drapichrust, wychował się bez matki, rozpuszczony jak batóg cygański.

— No, no, zobaczymy, czy tak jest, jak wam się zdaje odpowiedział hrabia, uderzając przyjaźnie Jacentego po ramieniu.

Po tej rozmowie, z początku raz na tydzień w niedzielę, później dwa i trzy razy w tygodniu, młody pan Hilary Bereźnicki chodził do pałacu, gdzie pod okiem guwernera bawił się z hrabiczem.

Lolo, jak matka pieszczotliwie nazywała jedynaka, był chłopcem dobrym, nawet serdecznym, prędko też Hilcia pokochał, i tak tęsknił do jego towarzystwa, że hrabina, ilekroć synowi chciała sprawić miłą niespodziankę, do dworku Jacentego posełała własne konie po „panicza“. Tak ścieśniała się znajomość, a ze znajomosci rodziła się przyjaźń.

Hrabia był rozumniejszy, niż jego otoczenie. Chociaż jedynaka kochał nad życie, wiedząc, że wychowanie domowe nawet najstaranniejsze, nigdy publicznego nie zastąpi, postanowił oddać Lola w dwudziestym roku do szkół łacińskich. Napróżno matka płakała i mdlała; na nic się też nie przydały perswazje ciotek i wujaszków, hrabia gdy raz co postanowił, nigdy się nie cofał. Lolo więc miał wyjechać do Przemyśla, gdzie hrabia postanowił umieścić go u blizkich swoich krewnych, którzy tam mieszkali. Ale rychłemu tej myśli spełnieniu rzecz jedna stanęła na przeszkodzie. Oto Lolo żadną miarą nie chciał wyjechać bez Hilcia. Próżne były uwagi ojca, nawet jego gniewy; malec uparł się i tak prosił, dopóki hrabia nie posłał po Jacentego.

W długiej przemowie hrabia wytłumaczył, jak niezbędną jest nauka dla każdego człowieka, a gdy z potakiwania głową szlachcica wywnioskował, że Jacenty jest tego samego zdania, tak zakończył:

— Postanowiwszy wysłać mego syna do szkół przemyskich, pomyślałem także o waszym Hilciu. Chłopiec pojętny, mógłby się czegoś nauczyć. (C. d. n.)

SOWY.

(BAJKA.)

Stał gmach wspaniały na gruzach zniszczenia:
Ponuro lśniły poszczerbione ściany,
I czasem tylko przechodzień zbłąkany,
Kiedy nań spojrzał źrenicą marzenia,
Na starych murach smutne czytał wieści:
Niegdyś w dniach szczęścia świetnych czynów dzieje,
A później — długie dni łzawych koleje
A więc w tęsknocie i cichej żałobie
Żegnał ten święty przybytek boleści;
Czasem zapłakał, jak na matki grobie,
I wspomniał, co tam lud poczciwy gwarzy,
I co o zamku tym mówili starzy...

* * *

W koło się różne roiło tam ptactwo,
Skąpo karmione z nieżyczliwej ręki,
I nawet słowik na pobliskiem drzewie
Czasami tęskne wywodził piosenki.
Pytacie, czemu na gruzach przeszłości
Zgłodniałe ptactwo chętnie dotąd gości?
Bo tam rodzinne stare gniazdo leży,
To orle gniazdo — tam na szczycie wieży!

* * *

A w koło zamku sów dość liczne grono
Cicho drzemało pod pułapu cieniem:
Im jako starszym wiekiem, doświadczeniem
Pieczę nad starym gmachem powierzono.

Raz, gdy na gruzach błysnął świt różowy,
Wnet w alarm wielki uderzyły sowy:
— Biada, nam, biada! — zawołały — dzieci!
Patrzcie! to ogień niszczy zamek cały! —
Na szczycie wieży siadł orzeł wspaniały
I rzekł: Precz z trwogą! wszak to słońce świeci!

Antoni Pilecki.

„Illegitimi Thori“.

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Nie dziwno, że młodzież tęskniła za Jędrusiem, gdy nawet państwu Wilskim, obojgu żyjącym li dla miłości groszy, zimnym i każdemu uczuciu cale nieprzystępnym, kilkudniowa nieobecność nauczyciela dzieci, zdała się za długą, brakowało im go formalnie, wyglądali go niespokojnie. Oni, którzy dawniej tak niechętni byli zawsze obcemu człowiekowi w swoim domu!

Prawda, że w polu roboty były gorące, oko pańskie nie zawsze i wszędzie mogło czuwać nad „płatnymi wrogami , jak to zwykle nazywał pan Wilski służbę i robotnika, a Jędruś nawet jako nadstawnik przy żeńcach, okazał się był bardzo sumiennym i o dobro właściciela dbałym. A z temi regestrami, to już chyba nikt pono nie zdołałby obchodzić się tak systematycznie i skrupulatnie, jak ten Kobylski! Zatem dłuższa jego absencja groziła okropnym nieporządkiem i stratami niepowetowanemi, bo „djabli tam dojdą potem tych rachunków“.

Pani Wilska słuchająca cierpliwie tych żalów i utyskiwań, potakiwała im monosylabami, dodając od siebie, że dalej dalej, Jaś się gotów od kiązki odzwyczaić i rozpróżniaczyć, a szkoda by było, bo chłopiec widocznie zasmakował w nauce, i według zapewnień kompetentnego proboszcza i opiekuna Dręckiego, może daleko doprowadzić ze swojemi zdolnościami.

Tak stały rzeczy w Zrębach, gdy wreszcie pewnego wieczora jednokonnym wózkiem chłopskim zjawił się Jędruś. Witano się z nim, jak z dawno niewidzianym a ukochanym krewnym bliskim. Jaś o mało go nieprzewrócił uściskami, a na twarzach panny Karoliny i Małgosi widać było — gdyby kto oczywiście był uważał tylko — jawne wzruszenie, które u pierwszej zamanifestowało się żywemi k olorami, u drugiej wręcz przeciwnie, bo bladością niezwykłą.

Nakarmiony z macierzyńską troskliwością przez gospodynię domu, musiał opowiedzieć z drobnemi szczegółami dzieje tych kilku dni. O ile rzeczywiście poruszył wszystkich opis śmierci zacnego profesora i dowód jego przywiązania dla Jędrusia, objawiony ową darowizną skromnego mienia, o tyle zirytowała Wilskich i pannę Karolinę okoliczność, że uzyskaną gotówkę dał nieopatrznie w ręce jakiemuś smarkaczowi. Jak można być tak lekkomyślnym i łatwowiernym! oburzano się jednogłośnie, bo już z samego opisu owego kolegi dawnego, choć w nim Jędruś pominął epizody z lat szkolnych, faworyt pani pocztmistrzowej grubo się niepodobał wszystkim.

Zwłaszcza panna Karolina uspokoić się nie mogła. Tysiąc guldenów z górą... taż to w dzisiejszych czasach niemal majątek!

Wiemy, że w głębi duszy uważała Jędrusia za przyszłego męża — czy zechce czy nie zechce, będzie musiał!... W obec tego bardzo zaniepokoił ją los tej pokaźnej sumy, ulokowanej tak niefortunnie.

Doradzano mu, aby zaraz nazajutrz wrócił tam, i odebrał pieniądze panu Kazimierzowi. Oparł się jednak, obiecując napisać niezwłocznie i zapewniając, że o ile zna Kazimierza, choć mu zarzucić można to i owo, na punkcie uczciwości w oczach jego stoi niezmazany, a wszystkie w tej mierze przypuszczenia i obawy, są co najmniej płonne.

— Et! przez posła wilk nie utyje... zrobiłeś asan głupstwo nie do darowania i basta! Rób sobie zresztą jak chcesz! — zakonkludował pan Wilski.

* * *

Po dwu latach widzimy wszystkich mieszkańców Zrębowskiego dworu we Lwowie.

Mieszkali tu już od niejakiego czasu, bo ciężka i co w tajemnicy było przed dziećmi, nieuleczalna choroba pana Wilskiego wymagała ciągłej pieczy doktorów. Choć z bolem serca na widok potrojonych wydatków i opuszczonej a na łaskę „płatnych wrogów“ zdanej gospodarki, musieli jednak stale zamieszkać w stolicy. Jakkolwiek bowiem oboje skąpi byli bez granic, nie mniej jednak przywiązani do życia, i gotowi największe nawet wydatki i przykrości ponieść dlań w ofierze.

Panna Karolina została dalej, atoli teraz więcej w roli towarzyszki Małgosi, niżeli nauczycielki. Śliczna panna Małgorzata kończyła już edukację przeciętnej panny posażnej, i brała jeno lekcje konwersacji od rodowitego Francuza i muzyki od najsławniejszego pianisty lwowskiego. Reszty miało dokonać czytanie naukowych dzieł do spółki z panną Karoliną, w zimie lekcje tańca, no... i chyba już dosyć byłoby dla pięknej a bogatej dziewczyny. Tak przynajmniej twierdził opiekun pan Dręcki, z ręką na sercu, czując się w swem sumieniu uspokojonym zupełnie, że obowiązki opiekuna, włożone nań przez ś. p. przyjaciela, spełniał uczciwie i r zetelnie.

Jaś chodził do gimnazjum, i choć Jędruś widząc się poniekąd zbytecznym, chciał pożegnać swoich chlebodawców, na usilne prożby wszystkich, został dalej w domu Wilskich. Zapowiedział jednak, że jeszcze rok tylko może dla nich poświęcić, bo po nim należy mu pomyśleć serjo o przyszłości swojej, jeśli nie ma zejść na całe życie do roli prywatnego bakałarza.

Powiedzieliśmy wyżej „na prośby wszystkich“... Nie przesadzone to wcale. Dla starych Wilskich był prawie niezbędnym. Jaś przepadał za nim, o pannie Karolinie mówić zbyteczne, że rada była mieć go blisko siebie na oku, a co się działo na samą myśl rozstania w serduszku Małgosi, o tem najdokładniej powiedzieć by nam mogła chyba jaka jej rówieśnica, która z przebiegłością skąpca kryje w sobie cichą, ale nie mniej przeto głęboką i namiętną, bo pierwszą miłość dla wyidealizowanego kochanka.

Czy o tem wiedział ten szczęśliwy Jędruś, i czy żywił równe dla niej uczucia? Musiałby chyba być człowiekiem urobionym z przepalonego żużla, a nie pełnym zdrowia i życia dwudziestokilkuletnim chłopakiem, aby widząc tyle czasu blisko siebie tak śliczne dziewczę, nie pokochać go całem sercem i duszą, a przytem nie wyczytać ze spojrzeń ukradkowych, jej przecudownych ocząt, nie przeczuć instyktownie, że mu wzajemną była!

Wiedzieli oboje, jak są sobie mili choć dotychczas żadne jednem słowem nie zdradziło się drugiemu — co gorzej jednak, tajny ten spisek młodych serc nie uszedł wprawemu oku panny Karoliny.

Gdy na podstawie kilku pochwyconych w przelocie spojrzeń Małgosi, przesłanych ukradkiem w stronę Jędrusia — innych bowiem poszlak nie miała, zresztą i mieć nie mogła — wysnuła łatwy dla kobiety wniosek, że coś się pomiędzy młodą parką święci, w pierwszej chwili zadrżała... Tej miary rywalka, jak Małgosia, to zbyt wielka przeszkoda, i kiedy? wówczas gdy już widziała się tak bliską spełnienia swoich zamiarów. To okropne! Od czegoż jednak była sprytną kobietą. Najstraszniejszy orkan

łamie igruchoce dęby wyniosłe, wiotki zaś szuwar wodny kładzie się mu do nóg pokornie, ale na to, aby za chwilę powstać i szydzić z groźnego pogromcy, gdy on już daleko...

Więc i to odkrycie, choć ją w pierwszej chwili powaliło, nie złamało jednak...

(C. d. n.)

Gustaw Flaubert

przez

Jerzego Brandesa.

(Ciąg dalszy).

Tu jest wyciągnięta treść ogólno ludzka ze specyficznej sytuacji kartagińskiej.

„Salambo", jak powiedziałem, zrobiła nie mało hałasu, ale nie mniej przeto była rozczarowaniem dla czytelników i krytyki. Nie podzielano z autorem upodobania do przedmiotów ogromnych i płomienistych, niechętnie przedzierano się przez opis starożytnych machin oblężniczych i taranów; proszono go aby napisał nowe opowiadanie miłosne, nowy „roman de passion". Flaubert nareszcie z końcem roku 1869 uległ żądaniu, wydając romans „L'education sentimentale", dzieło najcharakterystyczniejsze i najgłębsze, które jednak zupełnie nie miało powodzenia. Łaska publiczności, oziębiona przez „Salambo", od tej chwili całkowicie się od niego odwróciła.

Nowa książka była nowym rodzajem książki. Tytuł prawie nie dający się przetłumaczyć („Wychowanie serca") nie jest poprawny; nikt i nic się nie wychowywa, jednak książka maluje życie uczuciowe Ale przedstawia raczej stopniowo postępujące stępienie kończące się wydarciem z korzeniami uczucia miłości, aniżeli jego rozwój. Książka mogłaby się słuszniej nazywać „Illuzja miłości i jej wykorzenienie". Jestto jedna z głównych prób Hauberta wydestylować puste nie w postaci czystej iluzji ze wszystkich tęsknot i dążeń zwyczajnego ludzkiego życia. W „Salambo" obracał się cały wątek około świętej zasłony bogini Tanity zwanej Zaimpf; ta zasłona jest promieniejąca i lekka; miasto pozbawione jej ginie, człowiek jeśli się w nią odzieje, nie ulega zranieniu, ale kto sie nią osłoni, musi zginąć. Illuzja jest taką, jak owa zasłona. Jest promienną, jak słońce i lekką jak powietrze, udziela pewności lunatyka a żre, jak koszula Nessusa.

Powiedziałem, że Flaubert wierzył w namiętną miłość trwającą całe życie, nigdy nie zaspokojoną. Taką przedstawił w stosunku Fryderyka do pani Arnoue. Miłość ta jest wstydliwą, tłumioną, wychodzącą na jaw tylko w kilku nierozumnych poświęceniach dla jej męża i w kilku do połowy wypowiedzianych platonicznych zapewnieniach wzajemnych sympatji, które nie prowadzą do niczego, do przyrzeczenia, cofniętego później, do kilku chybionych zamiarów, a po upływie 20 lat do bezskutecznego wyznania i jedynego uścisku, z ktorego się wyrywa kochanek, bo się kochanka tymczasem postarzała i białe jej włosy napełniają go wstrętem.

Szczególnem jest w tym romansie znacznie wybitniej, niż w „Pani Bovary", i to że nie ma żadnego bohatera a zresztą również nie ma i bohaterki. W przestarzałym wyrazie „bohater" leży dziedziczny zwyczaj staromodnej poezji Od wieków autorowie urządzali paradę z bohaterem, był silny i piękny, wielki w cnocie lub występkach, przykład do naśladowania lub odstraszenia — tu schwycił poeta młodego człowieka tego rodzaju, jaką jest największa część młodzieży i bez wyrażenia żalu ani nagany okazał, w jakiej nicości upłynęło jego życie i jak spadały na niego rozczarowania, nie wielkie i rzadkie rozczarowania — w ogóle nie doświadcza on nic wielkiego ani rzadkiego — nie, małe rozczarowania, które składają się na życie. Długo łańcuch małych rozczarowań z pojedyńczemi większemi rozczarowaniami między nimi —-to jest Flaubert'a definicja regularnego życia ludzkiego. Ale urok, książki nie polega głównie na przeprowadzeniu melancholicznego kolorytu. Główną zaletą jest dla mnie wdzięk i czystość, którą prowadzone pióro, w opisach miłości Fryderyka.

Głębokie zrozumienie marzycielstwa młodzieńca wskazuje na własne doświadczenie poety. Nigdzie Flaubert nie pisał tak bezpośrednio z własnej duszy.

Fryderyk kocha bez ukrytej myśli, bez nadziei, wzajemności, bezwzględnie, uczuciem podobnem do wdzięczności i doznaje potrzeby, ofiary i poświęcenia się dla kochanki, wzmagającej się wskutek niezaspokojenia. Ale lata upływają i rozwija się podobne uczucie u ukochanej kobiety. Jestto dla nich rzecz pewna, że nigdy do siebie nie będą należeć; ale ich smak, ich sądy zgadzają się z sobą: „Nieraz jedno przysłuchując się drugiemu rzecze ze smutkiem: „I ja także" a wkrótce potem kolej przychodzi na drugie westchnienie. „I ja także"! I marzyli, że gdyby chciała opatrzność, toby ich życie było tylko miłością napełnione, „czemś słodkiem, jasnem i wzniosłem, jak drżące migotanie gwiazd".

„Prawie zawsze zatrzymywali się na wolnem powietrzu w werandzie, a jesienne żółtawe korony drzew rozpościerały się przed nimi nierówno aż do brzegu bladego nieba; albo siadali w pawilonie na końcu aleji, gdzie kanapa pokryta szarem płótnem była jedynym sprzętem. Czarne punkciki poplamiły źwierciadło, ściany tchnęły stęchlizną, oni tam pozostawali, gwarząc o sobie, o innych, o czem bądź, we wzajemnym zachwycie. Niekiedy promienie słońca torujące sobie drogę przez okna sufitu aż do podłogi wyglądały jak struny na wielkiej lirze".

Tą lirą była jak sądzę lira stara, lira prawdziwa; pochodząca z czasów trubadurów; z dni młodości Flauberta i wydaje się, jakby on w tem miejscu właśnie uderzył w jej strony.

„L'education sentimentale" wyszła w czasie, kiedy cesarstwo znajdowało się w epoce ostatnich przejść swoich. Pokup był mierny. Wszystkie dzienniki ogłosiły, że książka jest nudną, a oprócz tego rozumie się niemoralną. Najsmutniejszym było dla Flaubert'a następujące po tem milczenie. Siedmioletnia praca wydawała się straconą.

Przyczyną było to, że za wiele pracował. Aby przedstawić Paryż po r. 1840, studjował stare obrazy, stare plany, rekonstruował znikłe ulice, zgłębił kilka tysięcy gazet z referatem o mowach klubowych i bójkach ulicznych.

Chciał dać absolutnie wierny obraz czasu i za wiele nacisku na to położył. Aparat historyczny działa nużąco. Nienawiść głupoty zaprowadziła go i tu zadaleko. Już w młodości należało to u niego do zabawy, urządzonej wspólnie z Bouilhetem, spisywać jak można najwierniejsze kopje mów oficjalnych w ogóle, wierszy okolicznościowych przy poświęceniu dzwonu albo przy pogrzebie monarchy; owacyj ludowych i uroczystych wielkiego rodzaju. Znaleziono całe pakiety takich rzeczy po śmierci Bouilhet'a. W „Pani Bovary" zabawił się, oddając całą mowę naczelnika wystawy rolniczej, jej zapał na obstalunek i styliczne naiwności; tutaj włożył in extenso mowę liberalną, wygłoszoną do tego po hiszpańsku przez „patrjotę z Barcelony" na zgromadzeniu ludowem 1848 w Paryżu. Mowa jest nieprześcigniona jako wzór frazesów o wolności i postępie, ale ona jak i całe zgromadzenie na którem została wygłoszoną, zbyt mało mają związku z głównemi osobami. Obraz czasu zanadto się tutaj rozszerza; jak w „Salambo" podstawa stała się za wielką dla figur. Flaubert zapewne sam to uczuł, bo już pracując nad „Salambo" pisze z niezadowoleniem do jednego z przyjaciół:

„Studjum kostjumu sprowadza zapomnienie o duszy. Dałbym pół ryzy papieru, którą w przeciągu pięciumiesięcy napełniłem notatami, za to, aby przez 3 sekundy uczuć si

porwanym namiętnościami moich osób". — Ale nie zdołał opisać okoliczności, usposobień i stanów ogólnych usunąć w tył dostatecznie. Czuje się, że u niego studjum coraz bliżej dosięga w biegu wyobraźnię, jak w północnej mythologji potwór Mondgarm czychający na księżyc, i że ów biedny księżyc wciąż staje się bliższym pochłonięcia.

Trzy opowiadania „Prostacze serce" „Legenda o świętym Juljanie Gościnnym" i „Herodias" były małą trylogją arcydzieł: nowella z czasów dawniejszych, Legenda z wieków średnich i obraz ze starożytności ;„Herodias" w stylu „Salambo" jest pewnym, silnym obrazem Palestyny za czasów Jana Chrzciciela, na którym świeci ciekawa, obwisła twarz hulaszczego Witteliusa ze wzrokiem wlepionym w martwe oczy odciętej głowy św. Jana. „Legenda o św. Juljanie" jest wzorem odrodzenia średniowiecznego ducha. Żaden mnich nie napisał prawdziwej chrześcijańskiej legendy, jak ten ateista. Nic nie zachowuje ściślej legendowego stylu, jak zakończenie o trędowatym żebraku, pożerającym ostatni kawałek słoniny i ostatni kąsek chleba Juljana, plugawi jego talerz i czarę, nakoniec nietylko rozciąga się na łożu Juljana, ale żąda od niego, aby go ogrzewał nagiem ciałem, A kiedy były książe w pokorze ducha uniża się i czyni to, trędowaty obejmuje go z całą siłą i w tej chwili odmienia się postać żebraka: oczy stają się czyste, jak gwiazdy, włosy długie i jaśniejące, jak promienie słońca, oddech woniejący jak róże; dach z chaty odlatuje i Juljan unosi się w niebieską przestrzeń, twarzą w twarz widzi Chrystusa, który go wprowadza do nieba.

W „Prostaczem sercu" opowiedział Flaubert, można rzecz, dzieje starej premijowanej służącej z „Pani Bovary". Jestto wzruszające opowiadanie, o starej dziewce, wyzyskiwanej i opuszczonej przez wszystkich, która w końcu całą miłość serca swego przelewa na papugę; podziwia ją nadewszystko; w prostocie zdaje się jej, że jest ta papuga podobną do ducha swiętego w postaci gołębia namalowanego w ołtarzu wiejskiego kościoła, i zwolna zapełnia miejsce ducha świętego w jej świadomości. Ptak ginie, ona każe go wypchać. Ale w godzinie śmierci widzi go w olbrzymiej wielkości, z rospostartymi skrzydłami przyjmuje ją i wprowadza do rąju. Jestto jakoby bardzo żałośna parodja zakończenia legendy. Tu i tam wizja i illuzja; przy słabości naszej istoty, łatwości złudzenia i potrzebie pociechy — zdaje się mówić Flaubert, tonąc tak dobrze chwytamy za jedno źdźbło słomy, jak za drugie.

Trzy opowiadania powodzenia nie miały. W nich studjum zrobiło jeszcze jeden krok na koszt życia. Po pierwsze nie było już tu rozmów i odpowiednie opowiadania były raczej regestrami, jak nowellami · czuło się, że poeta zaczyna gardzić właściwą poetyczną techniką. Po drugie zanadto się rozszerzyła uczoność. Zadziwiające studjum było złożone np. w Legendzie. Przeczuwamy, ile legiend Flaubert przeczytał, aby módz z taką dokładnością odtworzyć charakter, Ale nie podjął starania, aby wyniki tej uczoności postawić w perspektywie przed oczami współczesnego czytelnika. Ani dróg ani ścieszek nie przerąbano w dziewiczym lesie legendowym, stoi mocno zrosły i zamyka spojrzeniu wolne tory. Wydaje się, że opowiadanie nie liczy na zwyczajnych nowoczesnych czytelników, lecz albo na ludzi 13. stulecia, albo na wykształconych znawców. (C d. n.)

Pokrewne duchy.

Bywają ludzie tak podobni do siebie pod względem charakteru i usposobienia, że nieraz widząc co jeden z nich uczynił lub jak sobie postąpił w pewnych okolicznościach, z matematyczną, prawie pewnością przepowiedzieć można co drugi człowiek tego samego typu uczyni wśród podobnych okoliczności.

Takie pokrewieństwo duchowe uderzyć musi każdego kto uważnie studjował żywot dwóch sławnych agitatorów: Ulryka von Hutten i Ferdynanda Lasalle'a.

Ulryk von Hutten a Ferdynand Lassalle! Wiek 16ty a wiek 19ty! Rycerz germański a literat semicki! Zdawałoby się że same antytezy. A jednak ci dwaj mężowie to przedstawiciele jednego i tego samego typu duchowego.

Obaj oni byli pionierami przyszłości — każdy w swoim czasie; obaj walczyli z panującym kierunkiem nauk, walczyli z władzą; wystąpili przeciw klasom przodownia przeciw możnym i bogatym; obaj życie poświęcili dla tej walki, oddani zupełnie agitacji obaj umarli w młodym wieku (Hutten w 36. Lassalle w 39. roku życia), obaj wreszcie mimo idealny swój kierunek, przywiązywali ogromne znaczenia do „władzy", jako do najlepszego środka przeprowadzenia reform zbawiennych.

Pokrewieństwo duchowe tych dwóch mężów wykazał bardzo pięknie Jerzy Brandes w swojej biografji Lassalle'a. Sam zresztą Lassalle zawsze czuł wielką sympatję dla postaci Ulryka von Hutten i nawet mu pał znaczną rolę w swoim dramacie „Franz von Siekingen". Postać Ulryka von Hutten, jak ją nakreślił Lassalle w tym dramacie. jest najlepszym kluczem do psychologji samego autora i zastępuje wybornie autobiografię. Wiadomo zresztą, że Lassalle z upodobaniem cytował wiersz Wergila, który służył za dewizę i Ulrykowi von Hutten: „Plectere si nequeo superos, Acheronta movebo", — wiersz, który wybornie oddaje tok myśli obu agitatorów: Naprzód starali się pozyskać superos — możnych swego czasu dla reformatorskich planów; gdy zaś ci głuchymi się okazali na ich wołania, rzucili się w wir agitacji, zastąpili na ulicę i poruszyli „acheron" zwany ludem, czyli „masą ciemną".

Kogo zajmuje paralela tych dwóch żywotów, tego odsyłamy do wzmiankowanej pracy Brandesa. My w tem miejscu chcielibyśmy podnieść jeszcze jeden szczegół ciekawy, który świadczy nietylko o pobratymstwie duchowem Huttena i Lassalle'a, ale o czemś więcej jeszcze, bo o uderzającem podobieństwie dwóch odległych od siebie epok historycznych.

Ulryk von Hutten żył w latach 1488 1523, Lassalle 1825-1864. Pierwszy więc był świadkiem wielkiej rewolucji jaką sprawiły w Niemczech odrodzenie się nauk przez humanistów i reformacja Lutra, drugi znalazł się w wieku młodzieńczym wśród rewolucji r. 1848, która poruszyła tyle kwestyj politycznych, społecznych a nawet religijnych.

Wiadomo powszechnie jaki był stan spraw politycznych i kościelnych w czasach w których żył Hutten; lecz nie tak wiadome są stosunki społeczne, bo o nich w kompendjach szkolnych nie uczą.

Otóż znajduje się między słynnymi djalogami Huttena jeden djalog pod tytułem „Praedones" (rozbójnicy), który nam dosadnie maluje tak stan społeczeństwa ówczesnego jak i stanowisko autora w tym względzie. W dyalogu występują: Ulryk von Hutten, pomocnik wielkiego domu handlowego Fuggerów i Franciszek von Siekingen. Ulryk powstaje przeciw kupczykowi z powodu, że ten nazwał rozbójnikami rycerstwo niemieckie. Siekingen uspakaja przyjaciela i stara się przekonać kupca, że rycerze nie są tak złymi ludźmi, tłómacząc, że nie wszyscy rozbójnicy są ze szlachty i że prawdziwy rycerz brzydzi się rozbojem, gdy walka nie była formalnie wydaną.

W dalszym toku dyalogu Hutten rozwija program czysto socjalistyczny wykazując, jak prócz rycerzy i inne stany popełniają rozboje na słabych i bezbronnych. Według Huttena rozbójnikami są: „1. wszyscy co na gościńcu opadają wędrowców i

kupców w celu odarcia ich. Tego szlachta — zdaniem jego nie czyni: zapowiada ona formalną walkę lub też żąda okupu za wolne przejście. 2. gorszymi rozbójnikami są kupcy, którzy przez sprowadzanie obcych towarów, korzeni, jedwabiu i sukien, wyciągają z kraju pieniądze. Najgorszymi zaś z pomiędzy nich są kupcy z wielkiego domu Fuggerów (ówczesni Rotszyldowie); ci bowiem uciskają i innych kupców swojemi pieniądzmi, a droga do Indyj to tak jakby dla nich tylko była otwartą; 3. rozbójnikami są pisarze i adwokaci: 4. rozbójnikami wreszcie są źli księża (Pfaffen); do zaszczytów bowiem duchownych nikt się dostać nie może, kto nie ma pieniędzy, lub takowych dostać nie może, aby w Rzymie lub u innych władz kościelnych parafję kupić. Ci zaś, co urząd w ten sposób kupili, piastują go też tylko za pieniądze i dla pieniędzy".

Kto czytał współczesne nam pisma socjalistyczne, dostrzeże niechybnie, że z małemi tylko odmianami (mianowicie z pominięciem protekcjonistycznej części powyższego programu) dzisiejsi socjaliści tak samo określają stosunek klas: Ci których Hutten jędrnym swoim stylem nazwał rozbójnikami" nazywają się u Lassalle'a i jego współwyznawców „burżoazją", czyli klasą „wyzyskującą" w przeciwstawieniu do klasy pracującej. I otóż widzimy, że kwestja socjalna, która uchodzi za tak nową, nietylko istniała w całej pełni za czasów Huttena, ale nawet co do formy przejawów mało co inaczej występowała, niż dzisiaj, tylko, rozumie się, nie tak jaskrawo i trzeba było umysłów tak wysoko się wznoszących po nad swój czas jak umysł Huttena, aby ją dostrzedz i określić. Że zaś Hutten miał słuszność, okazały wojny chłopskie które wnet po śmierci jego wybuchły. „Acheron" poruszony przez niego, potężnie się wzburzył. O trzy wieki później zaczęli się burzyć robotnicy przemysłowi w Niemczech, poruszeni przez agitację Lassalle'a.

L. J.

Kronika naukowa.

(Wystawa elektryczna w Wiedniu.)

Ostatnie dwudziestolecie nazywają zwykle okresem: wystaw powszechnych. Przyczyniły się one nie mało do poznania cywilizacji narodów żyjących w najdalszych kończynach świata, dały sposobność ocenienia ich wysokości umysłowej, ułatwiły wynalazkom drogę do jak najszerszego rozpowszechnienia, spełniły wiele, a jednak i one nie były bez błędu. Złą stroną podobnych urządzeń było za wielkie nagromadzenie nowości, rozrywających nawet poważnego widza, nie dając mu poczynić żadnych studjów głębszych. Zresztą dałoby się tu przytoczyć wiele innych usterek jak n. p. zbyt liczna frekwentacja i t. d. Błędy te zwróciły na siebie uwagę fachowców, którzy starają się je ominąć, wynikiem tego jest: mniejsza ilość wystaw powszechnych. Ich miejsce poczynają zastępować wystawy specjalne, fachowe. Dowodem liczne, już to krajowe, już to międzynarodowe wystawy rolnicze, przemysłowe, obrazów rzeźby i t. d.

W obecnych czasach zwróciła na siebie szczególną uwagę całego świata elektryczność.

Kwestja oświetlenia, przenoszenia siły na znaczne odległości i wiele innych są zbyt ważne by je milczeniem pominąć można

Elektryczność rozwiązuje je już dzisiaj w mniej lub większym stopniu. Uczuwano więc potrzebę zreasumowania wszelkich wyników na tem polu; zestawienie podobne dają wystawy. Z tego powodu urządzono w r. 188' wystawę elektryczną w Paryżu, w r. 1882 w Monachium, w bieżącym roku urządza ją Wiedeń w lokalnościach wystawy powszechnej z r. 1873.

Wystawa w Wiedniu otwartą zostanie 1. sierpnia i trwać będzie do 30. październik t. j. trzy miesiące. W celu przyprowadzenia wystawy tej do skutku, zawiązała się komisja złożona z osobistości znanych w świecie naukowym z hr. Wilczkiem na czele.

Dla ułatwienia przeglądu podzielono przedmioty wystawowe na 18 grup, oprócz tego przez cały przeciąg wystawy odbywać się będą doświadczenia naukowe pod przewodnictwem osobnych komisyj naukowych

Czysty dochód z wystawy przeznaczony będzie zakładom naukowym i pojedynczym osobom w celu dalszego prowadzenia doświadczeń na polu elektryczności w kierunku wskazanym przez komisje wystawowe.

Według dotychczasowych doniesień, wszystko wskazuje, iż wystawa wiedeńska doścignie swemi rozmiarami wystawę paryską z r. 1881, obecnie przewyższyła już nawet wystawę monachijską.

Zgłoszeń tak krajowych jak i zagranicznych co dzień przybywa, liczba wystawców wzmaga się nieustannie, dość powiedzieć, iż znana rotunda nie wystarcza na pomieszczenie wszystkich przedmiotów. — Systemów oświetlenia elektrycznego zgłoszono już dzisiaj kilkadziesiąt, będą one wszystkie podczas wystawy funkcjonować i reprezentują już obecnie siłę około 280 tysięcy świec.

W grupie V. reprezentującej wszelkie systemy telefonów i przedmiotów wchodzących w zakres telefonii znajdować się będzie ulepszony telefon p. Machalskiego, doświadczenia robione z tym przyrządem; tak w kraju jakoteż we Francji między Paryżem a Le Mans, a więc na przestrzeni 500 klm. wypadły w zupełności na korzyść jego. Zdaje się, że i na wystawie wiedeńskiej zajmie on dominujące stanowisko.

Pomiędzy zabudowaniami wystawy kursować będzie kolej elektryczna najnowszego systemu, mającego pod względem ekonomicznym pierszeństwo przed systemem Siemensa. Kolej tego ostatniego pobiera swą siłę od motoru umieszczonego na jednym z końcowych punktów drogi, podczas gdy lokomotywa kolei systemu nowszego wiezie swój własny motor w postaci silnej baterji stosów drugorzędnych.

Tyle na dzisiaj; spodziewamy się jednak dać Szanownym czytelnikom we właściwym czasie szczegółowe sprawozdanie o przebiegu tej wielce interesującej wystawy.

Kaz. Spoliński.

Przegląd literacki.

(Nowe badania historyczne nad Galileuszem. Antonio Favaro Galilio Galilei e lo Studio di Padova, Firenze, Successori Le Monnier 1883).

Jubileusz czterechsetletni Kopernika, obchodzony równie uroczyście u nas jak w Niemczech i Włoszech dał powód historjografom umiejętności ścisłych do nowych badań nad życiem genialnego astronoma naszego jak w ogóle całej epoki, która sprowadziła przewrót zupełny w zapatrywaniach na kosmogoinę, stanowisko świata, a względnie człowieka. Włochy mianowicie przyczyniły się wielce do rozjaśnienia wielu ciemnych punktów co do tego okresu i dość wspomnieć tylko o odkryciu ważnych dokumentów dotyczących pobytu Kopernika w Bolonii przez Carla Malagotę, o ważnem odkryciu promocji Kopernika w Ferrarze 1503 r. dotąd zupełnie nieznanej, aby poznać że prace w tym kierunku niebyły płonne. Zajęcie się Kopernikiem poprowadziłoby jednak dalej do studjów nad Galileim i Keplerem, a rezultat ich częściowy leży właśnie przed nami.

Prof. uniwersytetu padewskiego Antonio Favaro złożył w dwóch tomach wynik swych sumiennych studjów nad 18 latami życia Galileusza (od 1592—1610), z których dowiadujemy się wiele zajmujących a nowych szczegółów.

Aż do r. 19 życia Galilei uczęszczając na uniwersytet w Pizie wcale nie uczył się matematyki, aż dopiero w r. 1583. porzucił medycynę i oddał się w zupełności naukom przyrodniczym. Studjum Archimedesa doprowadziło go wkrotce do wynalezienia wagi hydrostatycznej. Zapoznanie się z wpływowym marchese Guidubaldo del Monte przyczyniło się do tego, że młody uczony już w r. 1589 (licząc 25 lat) otrzymał katedrę matematyki w Pizie, gdzie mu płacono rocznie 60 skudów. Tu wynajduje on cykloidę i położył podstawę do dynamiki przez odkrycie prawideł spadku, które demonstrował eksperymentami. Nowe jego pomysły (ogłoszone w dyalogach o mechanice dopiero w r. 1638) poczyniły mu wielu nieprzyjaciół między kolegami, ale wpływom przyjaciół udało się nareszcie (1592) wyjednać dla niego miejsce lektora matematyki w uniwersytecie padewskim gdzie pobierał 180 skudów pensji.

Tu Galilei szedł w wykładach swoich utorowanemi szlakami. Pomiędzy r. 1593—1605 wykładał on tu o elementach Euklida, o mechanice Aristotelesa i o almagiście tytuł arabski astronomicznego dzieła Ptolomeusza. Z tego ostatniego wnosić należy, że Galilei był przez czas długi zwolennikiem geocentrycznej teorji Ptolomeusza. Nie zdziwi to nas bynajmniej jeżeli zważymy, że teorja heliocentryczna Kopernika niebyła jeszcze wówczas wcale uznaną, że Tycho Brahe był jej przeciwnikiem, Bacon jej nieuznawał, a jeden Kepler tylko mógł uchodzić za jej zwolennika. Nowe odkrycie Galileusza na polu teleskopu dały jej dopiero nowe podstawy. Po raz pierwszy starł się Galileusz z scholastykami padewskimi przy sposobności nowej gwiazdy w konstelacji Ophierchos, którą on pierwszy obserwował 10 paź. w r. 1604. Miał on o tem trzy odczyty publiczne, w których wystąpił przeciw zasadom zwolenników Aristotelesa o nieskończoności. Ulepszenie teleskopu i połączone z tem odkrycie rozszerzyły sławę Galileusza. W r. 1609 przedłożył on weneckiemu senatowi nowy teleskop, a już w r. 1610. 7 stycznia zrobił najpiękniejsze odkrycie, odkrycie księżyców Jowisza. Wiadomość o tem odkryciu rozeszła się szybko po Europie a jeden Kepler powitał je z radością, chociaż większość uczonych czas długi z ukosa patrzała na rezultaty prac Galileusza. Taka jest treść pracy uczonego Favaro. Drugi tom zawiera dokumenty, przedrukowane z archiwów włoskich, a rzecz cała kończy się dowodem konieczności krytycznego wydania wszystkich dzieł Galileusza.

(Józef Wójcik: Jakby można uczyć języka polskiego jako ojczystego w klasie pierwszej naszych szkół średnich.)

Literatura pedagogiczno-dydaktyczna jest u nas dopiero w zawiązku i choć mamy kilka wcale nie złych podręczników w tym kierunku, to jednak wszystkim im daleko do wzorów, pozostałych po nieśmiertelnej pamięci komisji edukacyjnej Przyczyny tego szukać należy w braku specjalnych rozpraw, opracowanych przez fachowców, każdy więc objaw podobnej pracy należy powitać z całą serdecznością. P. Wójcik nie mało się przysłużył nauczycielom języka polskiego, wydawszy rozprawę, której tytuł przytoczyliśmy, bo rzecz to opracowana tak gruntownie, że za wzór może posłużyć innym podobnym pracom. Autor zastanowiwszy się najpierw pokrótce nad potrzebą wychowania, zadaniem szkół w ogólności, nad koncentracją nauki, stanowiskiem nauki języka ojczystego w instrukcji szkolnej, nad celem tej nauki, środkami naukowemi, podręcznikami szkolnemi, przechodzi wreszcie do nauki gramatyki. Tu wypowiada sąd i zdanie swoje jak prawdziwy badacz, jak człowiek, który zapanowawszy nad przedmiotem teorytycznie, uzupełnił wykształcenie swoje praktycznie jako nauczyciel. Jakkolwiek przyznaje nieraz słuszność dzisiejszemu systemowi, to jednak nie godzi się nań zupełnie i radzi wprowadzić pewne zmiany, które naukę języka polskiego przy dzisiejszej szczupłej liczbie godzin, jakie mu poświęcono, znacznie by posunęły naprzód. Z równą znajomością traktuje autor lekturę szkolną, a chcąc rzecz wyczerpać zastanawia się nawet nad ustępami czytać się mającymi, oraz ocenia nieraz, czy też szczęśliwie złożono dzisiejsze wypisy polskie i oczywiście odpowiada przecząco.

Trzecią część stanowią wypracowania piśmienne, których liczba w pierwszej klasie jest za wielka. I tej części wskazówki mogą się przydać nawet wytrawnemu pedagogowi.

Jakkolwiek w wielu wypadkach moglibyśmy się nawet słusznie spierać z autorem z powodu nieraz kategorycznie wypowiedzianych zdań, które w praktyce nie dadzą się przeprowadzić, to jednak przyznajemy mu wielką zasługę, że się podjął pracy tak żmudnej, a wyznajmy, niewdzięcznej, bo czytelników wielu nie znajdzie. Mamy żal do p. W:, że tak późno wystąpił z swoją pracą, a mielibyśmy jeszcze większy, gdyby na następną równie długo kazał nam czekać, bo kto tak poważnie przedmiot traktuje, jak on, ten powinien częściej głos zabrać w kwestjach naukowych.

I. Z.

Przegląd teatralny.

Fedora, dramat w pięciu aktach Wiktoryna Sardou

Do mieszkania swego kochanka Włodzimierza Garyszkina wpada zaniepokojona nie stawieniem się jego na umówioną schadzkę księżna Fedora Romazow (p. Nowakowska), i wkrótce dowiaduje się z przerażeniem, że ten powrócił śmiertelnie ranny z tajemniczej wycieczki w odległą dzielnicę miasta. Komisja policyjna rozpoczyna natychmiast w mieszkaniu rannego śledztwo, przyczem Fedora z przenikliwą bystrością wskazuje na drobne okoliczności, mogące wyjaśnić przyczynę morderstwa i wyjawić samego zbrodniarza. Ojciec Włodzimierza, naczelnik policji, człowiek dziki, okrutny i z całą zajadłością prześladujący nihilistów, otrzymał pogróżki, iż jeżeli nie zaprzestanie prześladowań, będzie nosił wkrótce żałobę po swoim synie. Oczywiście, nie kto inny tylko nihiliści z pobudek politycznych zamordowali Włodzimierza, a gdy się jeszcze okazuje, że w dniu tym, w nieobecności Włodzimierza był w jego mieszkaniu sąsiad, znajomy Lorys Ipanow i wykradł z biurka list zapraszający Włodzimierza na tajemniczą schadzkę, nie ulega wątpliwości, że Ipanow (p. Żelazowski) należy do partji rewolucyjnej i zwabiwszy Włodzimierza podstępnie w odludne miejsce, wykonał morderczy zamach na niego Włodzimierz wkrótce umiera z odniesionej rany, a Fedora urągając bezradności władz policyjnych przysięga krwawą zemstę mordercy. Odtąd wykrycie, schwytanie i zemsta na mordercy staje się jej jedyną myślą, jedynym celem, do którego dąży z męzką siłą i wolą. Poszlakowany o zbrodnię Ipanow opuszcza potajemnie kraj i udaje się do Paryża, gdzie

go w akcie drugim spotykamy w salonie hrabiny Olgi Sucharew (p. Sułkowska), kobiety znużonej życiem i goniącej za ekscentrycznemi wrażeniami. Ale i księżna Fedora przybyła do Paryża, aby śledzić Ipanowa, uzasadnić dowodami podejrzenia i w razie dowodów, podstępnie, lub z użyciem gwałtu wydać go na pastwę srogim sądom swojego rządu. Otacza go szpiegami, śledzi każdy krok, każde poruszenie się jego, ale daremnie, żaden krok Ipanowa nie zdradza, aby był w styczności z partją rewolucyjną. Fedora widzi, że tą drogą niczego się nie dowie, chwyta się innego środka; poznaje, że ją Ipanow kocha, Ha! czego szpiegi nie potrafią, tego miłość dokaże. Przyjmuje wyznanie miłości, jest wzajemną, ale żąda od kochanka uniewinnienia się z ciążącego na nim zarzutu — jeśli prawdziwie kocha, wyzna wszystko. Bada go i przenikliwym wzrokiem chce na wskróś przejrzeć tajniki jego duszy — czyha na to wyznanie z gorączkowem drżeniem — ale równocześnie z kocią fałszywością głaska miłosnem wyznaniem ofiarę i dowiaduje się, że Ipanow jest rzeczywiście mordercą Włodzimierza; zabił go, bo miał prawo do tego, bo Włodzimierz potargał jego szczęście, uwodząc mu żonę. Wyznanie to, jak grom uderza w Fedorę; w jednej chwili zupełny w niej przewrót następuje. Pamięć dawnego kochanka zaciera się wzgardą, pragnienie zemsty ustępuje nowemu uczuciu — Fedora kocha Ipanowa. a miłość nie ustępuje w potędze pierwotnej żądzy. Ale za późno. Intrygami i policyjną machinacją wtrąciła brata Lorysa do więzienia, w którym niewinna ofiara ginie; stara matka na wiadomość o tem umiera, a Lorys zaocznie na śmierć skazany. A gdy nakoniec Lorys dowiaduje się, kto jest sprawcą tylu strasznych ciosów dla niego, szalonem oburzeniem uniesiony odtrąca gadzinę od siebie i w przystępie boleści i rozpaczy chce zabić już nie kochankę ale potwora — księżna Romazow uprzedza go, w jednej chwili zażywa truciznę, którą zawsze przy sobie nosi w pamiątkowym krzyżyku i umiera, błagając kochanka ostatniemi cichemi słowy o przebaczenie.

Taka jest treść ostatniego dramatu Wiktoryna Sardou. Jak wiadomo, Sardou napisał ten dramat dla jednej osoby, dla jednej roli, a rolę przeznaczył Sarze Bernhardt. Wszystkie inne osoby w dramacie, niewyjmując nawet Lorysa, służą tylko jako środek do wyrzeźbienia takiej postaci jak Fedora. To kobieta, w której żyłach żar płynie, nienawidzi i kocha z namiętnym szałem, a równocześnie łączy w sobie niezłamaną wytrwałość, zimną przebiegłość i chytrość; kobieta która potrafi w jednej chwili przejść z jednego uczucia do drugiego, a zawsze być przytomną i świadomą celu. Ta ognista namiętność u prawiedliwia też zupełnie tragiczny koniec bohaterki dramatu, który, jak wspomnieliśmy, napisany jedynie dla tej roli, chroma, jak wszystkie podobne utwory pisane dla jednej roli popisowej, pod względem budowy. Licznie wtrącone epizodyczne sceny, służące do wyjaśnienia głównej akcji, psują jednolitość i ciągłość takowej.

Zastanowić się nam teraz wypada, jak odegrano w naszym teatrze ten dramat. O innych rolach drugorzędnych wspominać nie będziemy, bo te nie dały artystom pola do popisu; zajmiemy się tylko samą Fedorą i najgłowniejszą z drugorzędnych, rolą Ipanowa Aby odegrać rolę Fedory, potrzeba być artystką przejętą poczuciem prawdy i piękna, potrzeba wielkiej siły, aby postać tę, która co chwilę zmienia się przed naszemi oczyma, raz jest namiętną kochanką, srogą mścicielką, to znowu z całą chytrością i finezją indagującą kobietą salonową, aby kobietę tę przedstawić jednolicie, naturalnie i prawdziwie. Po takiej artystce, jak p. Nowakowska, mogliśmy się spodziewać, że gra wypadnie dobrze. Co do jednolitości p. Nowakowska ze swego stanowiska, przeprowadziła całą rolę konsekwentnie. Była namiętną, była srogą, była wreszcie obłudną, a mimo to stworzyła całość jednolitą, Co innego, czy zgadzamy się na to stanowisko, na jakiem stoi artystka. Pani Nowakowska należy do tak zwanej szkoły francuskiej, której zasadniczą wadliwością w ogóle ów konwencjonalny patos, który dla scenicznego efektu, każe podnosić momenty psychiczne wybitniejsze do pewnego deklamacyjnego nastroju. Ten patos jest ostatkiem pseudoklasycznej rdzy, której niemogli jeszcze dotąd wytrzeć z umysłów rewolucjoniści literaccy, tak romantycy jak i naturaliści. W sztuce aktorskiej Sara Bernhardt potrafiła wyzwolić się z pod tej tyranji starej formuły, pod którą niestety upada tak dobra artystka, jak p, Nowakowska. Obok artyzmu, obok piękna wołamy: prawdy! prawdy! i jeszcze raz prawdy! Oto przyczyna dlaczego gra p. Żelazowskiego nie podobała się tym, co przywykli do sztucznej, nienaturalnej deklamacji. Na grę p. Żelazowskiego zgadzamy się zupełnie — widzimy na scenie człowieka, a nie emfatycznego retora, z którego ust brzmi tyrada pełna zapału, w stylu przekraczającym realną granicę; — u niego prawda bierze górę nad efektem, unika łatwego efektu, choć wie że tą drogą trudniej zyskać poklask mniej wybrednych widzów, i to właśnie zapisujemy na karb jego inteligencji i talentu Moglibyśmy wytknąć małe usterki, jakie dostrzegliśmy w grze p. Żelazowskiego, usterki, które w przyszłości łatwo będzie mógł usunąć n. p. za szybką deklamację — ale całość pochwalić tylko możemy i życzyć aby wytrwał na obranem stanowisku.

W końcu nadmienić musimy, że tak starannego wystawienia sztuki dawno we Lwowie nie widzieliśmy, co notujemy jako bezstronne uznanie dla Dyrekcji i reżyserji.

Tumult.

Przegląd muzyczny.

Dawno już nie mieli melomani takich przyjemności, jak w ostatnim tygodniu: odbyły się cztery koncerta i to koncerta pierwszorzędnych artystów. W sobotę dnia 14. b. m. produkował się kwartet smyczkowy Hellmesbergera. Grano kompozycje: Volkmana, Schumana, Haydna i Beethovena. Najbardziej nas zachwyciło wykonanie dwóch pierwszych utworów.

Pomijamy usterki, od których nawet ci artyści nie byli wolni — podnieść jednak musimy oddanie całości, wycieniowanie najsubtelniejsze wszelkich szczegółów, jak crescenda decrescenda, piana i pianissima, które do niezwykłej doskonałości były doprowadzone. Żaden instrument nieuprawniony nie podniósł głosu na niekorzyść drugiego — spiew był prowadzony wzorowo: nawet w miejscach gdzie melodja przechodzi częściowo przez wszystkie instrumenta, było czuć łączność zupełną i oddanie jej z taką artystyczną dokładnością,, jak gdyby jeden grał instrument. Mieliśmy sposobność doskonałą porównania tego kwartetu z kwartetem naszego Towarzystwa muzycznego, i pierwszą najważniejszą różnicę znaleźliśmy w jakości instrumentów. Jedna siła tonu, miękkość i łagodność każdej nuty, możność wycieniowania najdokładniejszego pianissima lub fort'a — to są zalety, które zależały przeważnie od instrumentów, a któremi się kwartet Helmesbergera odznaczał. Szczególnie takiej pysznej wiolonczelli zazdrościć musimy kwartetowi, a wiolonczella jest właśnie piętą Achillesową naszego kwartetu. P. Sulzer wydobywał tak miękkie okrągłe, cudowne tony ze swego instrumentu, że śmiało twierdzimy, iż wiolonczella jego musi być jedną z najlepszych n a ś w i e c i e. Altówka również odznaczała się pięknością tonu. Instrument

ten różni się zawsze od skrzypców szczególnem zabarwieniem swego łagodnego, melancholicznego brzmienia i gra właśnie dla tego bardzo ważną rolę w kwartecie. Niestety pod tymi względami nasz kwartet Towarzystwa jest bardzo biedny, nawet Florentyni na takich tandetnych instrumentach nie byliby wstanie wielkiego wywołać efektu.

Uderzył nas sposób zasiadania artystów (I. skrzypce, wiolenczella — II. skrzypce i wiola) różny od naszego (I. i II.skrzypce — wiola, wiolonczella). Wydaje on się nam właściwszym i korzystniejszym — śpiew bowiem w kwartecie przechodzi najczęściej z I. skrzypców do wiolenczelli i te instrumenta są główne. Veni, vidi, vici, — przyjechali, zagrali i odjechali, zostawiwszy wrażenie, które na długo pozostanie w pamięci słuchaczy.

P. Emil Sauret dał się słyszeć w trzech koncertach i o nim dałyby się te same słowa powiedzieć: gwiazda zabłysła, olśniła nas i znikła. Wielki ten artysta odznaczył się najbardziej wykonaniem utworów swoich rodaków i w ogóle kompozytorów szkoły francuskiej. Koncert Ernsta, Vieuxtemps'a. Fantazya z Fausta Wieniawskiego i Introdukcya; Rondo capricioso Saint-Saensa były świetnie wykonane.

Zwłaszcza ta ostatnia kompozycja należy z pewnością do najlepszych w repertoarze wielkiego wirtuoza. Mniej nas za to zadowolnił odegraniem koncertu M. Brucha. Jestto głęboka i pełna myśli kompozycja niemieckiego muzyka, wykonaną była pod względem technicznym i frazowania doskonale — nie było jednak przejęcia się wielką całością; chcąc oddać uczucie, trzeba je z siebie wydobyć — w skrzypcach ani smyczku ono nie leży. Również i romans (f-dur) Beethovena był zanadto zimno odegrany — było to oddanie zupełnie klasyczne — Beethoven jednak zdaniem naszem potrzebuje i zasługuje na to, aby go grać s e r c e m. Za to byliśmy zachwyceni prześliczną i gorącą deklamacya poetycznej Ballady Vientemps'a. Być może, że artysta chciał właśnie wywołać ten efekt, grając romans trochę zimno, czysto klasycznie i przeciwstawiając mu romantyczną balladę, w którą wlał całe ciepło swego uczucia. Polones był odegrany z nadzwyczajną brawurą i elegancją, za mało jednak było zacięcia, co również w odegraniu Arji węgierskiej Ernsta (samego tematu) zauważaliśmy. Brak miejsca nie pozwala nam przechodzić szczegółowo wszystkich utworów odegranych przez koncertanta— wspomniemy jeszcze tylko o trzech kompozycjach Sauret'a: „Scene espagnole„ oraz „Impromptu i Scherzo“... Pierwsza kompozycja nie ma zdaniem naszem żadnej wartości muzycznej podaje ona tylko artyście sposobność okazania swej nadzwyczajnej techniki; trzecia zaś jest dosyć wdzięczną, zdaje nam się jednak, że tylko wtedy, gdy ją gra sam Sauret. W końcu zauważamy, że ton skrzypców p. Sauret należy do więcejjak średnich a jest bardzo miły, okrągły i pełny. Gra zaś odznacza się nadzwyczajną swobodą i elegancją iście francuską.

R.

Poświęcenie się pana Bajolein.

Nowella z francuskiego.

Pewnego ranka w miesiącu marcu, zeszłego roku zdarzył się szczególny wypadek w starej kięgarni pod firmą „Brochat synowiec“ przy ulicy Jean—Jaques Rousseau, w Paryżu. Właśnie wybiła godzina dziewiąta, a wielki, skórą obity fotel, na którym p. Bajolein, buchhalter firmy, zasiadał od 19 lat codziennie z najprzykładniejszą punktualnością — o godzinie pół do dziewiątej rano — był dotychczas niezajęty. Jak sięga pamięć współpracowników tej księgarni i starego taburetu, jeszcze nigdy ten fenix punktualności niezapomniał się do tego stopnia. Spóźnienie o pół godziny! To coś niesłychanego!

Pryncypał p. Brochat synowiec, przychodził zazwyczaj dopiero o dziewiątej.

Zaledwie wszedł — spostrzegł od razu swem wprawnem okiem szefa, miejsce wolne za kratką w głębi pokoju.

— Bajolein? — zapytał tonem mrukliwym i opryskliwym, który sobie umyślnie w obec podwładnych nadawał.

— Musi być słaby — odpowiedział jeden z subjektów.

— Niema go dotychczas?

— Nie ma.

— Słaby? On nigdy nie choruje! Miałby właśnie zachorować dzisiaj, kiedy mamy tyle do roboty. Jeszcze nie dokończył tych słów, gdy wysoka, szczupła i trochę przygarbiona postać wsunęła się przez na pół zaledwie uchylone drzwi do sklepu.

— A! — otóż i on! — zawołano chórem.

Przybyły był rzeczywiście „ojcem Bajolein“ jak go zazwyczaj nazywano, mimo, że nie był żonatym i liczył dopiero 45 lat. Zadyszany, zarumieniony jak student, którego złapano na gorącym uczynku — przywitał szybko wszystkich i kłaniając się w przechodzie panu Brochat synowi, pospiesznie zajął miejsce na swym fotelu, który w tej chwili aż zaskrzypiał z zadowolenia.

— Bajolein, przemówił p. Brochat synowiec z miną nieukontentowania, Bajolein, pan się zaniedbujesz jak widzę?

— O! Panie Brochat!... protestował obwiniony.

— Dosyć... Nie lubię pomocników gadatliwych.

— Chciej pan wybaczyć... Zapomniałem jedną rzecz... pulares... i musiałem się wracać do domu. Dlatego tylko się spóźniłem.

Wyjąkając to tłumaczenie — poczciwy Bajolein czuł, że mu krew na twarz wystąpiła — powiedział bowiem tylko część prawdy.

Mały Fourrageot, największy żartowniś ze wszystkich, który chociaż najmłodszy nie wiele sobie robił z surowych mów i naciągniętej powagi pryncypała zawołał drwiąco:

— Ja się bardzo obawiam, czy to nie jaka awantura miłośna była powodem opóźnienia p. Bajolein!

— Ależ! — bronił się p. Bajolein tracąc prawie oddech.

— Mojem zdaniem — zabrał głos p. Brochat synowiec — jeżeli kawaler zaczyna się zaniedbywać w swoich obowiązkach...

— Oh! Panie Brochat!...

— Kto może wiedzieć gdzie on swój czas przepędza?

— Oh! Panie! — tyle tylko był wstanie wybąkać na swoją obronę biedny p. Bajolein, którego to dokuczanie na pół serjo — tak zmieszało, że sam sobie na razie nie mógł zdać sprawy, czy rzeczywiście nie popełnił jakiego czynu karygodnego.

P. Bajolein był ideałem porządnego człowieka. Mieszkał przy ulicy Serpente na piątem piętrze w dwóch małych izdebkach, których okna wychodziły na niewielki ogródek. A mieszkał bez przerwy od czasu gdy wstąpił jako pomocnik do handlu p. Brochat synowca. Daleki od mizantropji, ale nadzwyczaj skromny i bojaźliwy, nie chcąc się nikomu narzucać, Bajolein nie znał wcale rozkoszy i przyjemności Paryża, miał tylko jedną namiętność, jedną miłość... dla starych książek. To też odźwierna tego domu, zacna pani Muche stawiała go zawsze za wzór i przykład wszystkim lokatorom.

W spokojnem i samotnem życiu p. Bajolein, reprezentowała pani Muche całą płeć piękną, w skromnym charakterze gospodyni.

Była to wdowa wcale jeszcze dobrze się trzymająca, i dzielnie dźwigająca pięć-

dziesiątą drugą jesień. Pod względem moralnym zasługiwała w całem tego słowa znaczeniu na miano uczciwej kobiety. Pod względem fizycznym robiła wrażenie tęgiego żandarma, silną budową, zdrową cerą, świeżymi rumieńcami i maleńką brodawką z ewej strony nosa, pokrytą pączkiem dość bujnych rudawych włosów. Brodawka ta była rzeczywiście charakterystyczną; w ciągłym ruchu i wiecznie zmieniająca położenie nadawała oryginalną cechę wyrazowi twarzy pani Muche.

Bajolein, trzymając się od 19 lat stale firmy p. Brochat synowca, nie zmieniał również od tego czasu mieszkan.a i pozostał wiecznym swej gospodyni.

I dlaczegoż miałby się pozbawiać usług pani Muche? Ktróżby więcej niż ona mógł zasługiwać na jego zaufanie? Któraż kobieta potrafiłaby tak punktualnie, zawsze z uderzeniem godziny pół do siódmej rano przynosić mu czekoladę, jego zwykły i jedyny posiłek jaki w domu przyjmował? Czyjaż ręka miałaby tak troskliwie i ostrożnie ścierać piórkiem proch z jego książek, z jego nieocenionych szpargałów?

Pani Muche zauważyła zaraz w początk ch nadzwyczajną punktualność p. Bajolein w płaceniu czynszu i wszelkich należytości — zauważyła również jego nieprzezwyciężony wstręt do robienia długów. Tymi przymiotami zrobił p. Bajolein odrazu stanowczy wyłom w sercu tej nieocenionej gospodyni. Z czasem zaś do poważania i sympatji jakie powzięła pani Muche dla „swego pana“ przyłączyło się prawdziwe przywiązanie tej dobrej istoty, które też p, Bajolein ze swej strony w zupełności podzielał i godnie odpłacał. Po dziesięciu latach pan i gospodyni doszli do tego, że życzyli sobie imienin dając sobie wzajemne upominkl, bukiet lub jakąś chusteczkę na głowę za niewielką cenę (zważa się bowiem na intencję — nie na wartość przedmiotu.) Zaczęła pani Muche. On się z początku wzdragał, gniewał, bronił, jak zwyczajnie bywa, musiał w końcu ustąpić i naturalnie zrewanżował się przy najbliższej sposobności. W rok później nowy zamach stanu. P. Muche odważyła się po raz pierwszy zwrócić uwagę p. Bajolein na jego szalone wydatki na stare książki, jak gdyby nle było książek całkiem nowych po księgarniach. Podejrzywała go, i słusznie, że cały prawie swój nie wielki dochód obraca na zakupno starych szpargałów nie składając nic na przyszłość, na nieprzewidziane wypadki. Pozwalała sobie okazać mu swój niepokój z tego powodu — na co Bajolein nie znalazł odpowiedzi.

— To nie wszystko, jestem pewną, że Pan nieraz odmawiasz sobie na niezbędne potrzeby, byle tylko zebrać jak najwięcej tej paskudnej bibuły. Pan chodzisz widocznie z końcem każdego miesiąca, miałabym wielki gust zobaczyć jakie to pan obiady jadasz po restauracjach.

To wszystko było wypowiedziane jednym tchem, kosmata brodawka aż zadrżała na tyle odwagi.

— Pani Muhe, odpowiedział ojciec Bajolein, z zakłopotaniem, Pani wiesz dobrze, że ja jestem zbyt rozsądny, aby robić głupstwa.

Przyznać trzeba, że sobie stary pochlebiał — dowodem tego właśnie przygoda, która go dziś rano spotkała. Wyszedł wprawdzie z domu zawczasu, nie miał bowiem, jak wiemy zwyczaju spaźniać się. Mimo że mu codzienna droga wypadała koło kilku antykwarni — szedł znowu prosto nie wstępując do żadnej — za to w południe zjadłszy na prędce śniadanie w jednej z mleczarń przy ulicy Pont Neuf obracał pozostałe mu trzy kwadranse na poszukiwanie swoich skarbów. Trzy kwadranse było wprawdzie bardzo mało, wynagradzał to sobie w niedzielę, spacerując i plądrując po wszystkich księgarniach od ulicy Pont Neuf aż do Pont Royal!

Jak on dobrze znał, jak lubił ulice naszpikowane antykwarniami! Nieszczęściem Bajolein nie był bogatym; miał zaledwie dwieście franków miesięcznej płacy: stąd też ta jego przechadzka narażała go na walkę z coraz nowemi pokusami. I dzisiaj idąc rano do pracy westchnął głęboko na widok tylu otwartych sklepów, w których szarzały poważne i szanowne wolumina:

— I po co właściwie ja łażę tędy po całych dniach? Dzisiaj już trudno tu zrobić jakie korzystne odkrycie. Zajęcie zbieracza straciło dawne znaczenie — wszystko ma obecnie swój kurs w handlu; antykwaryusze zmądrzeli, włóczą się teraz po wszystkich licytacjach, wydają katalogi, znają się na każdej książce — nie tak to jak dawniej kiedy za darmo można było nabyć nieraz najcenniejsze dzieło. To mówiąc, zawrócił na ulicę l'Arbre-Sec.

W tej samej chwili zadrżał, rzuciwszy okiem na jakiś przedmiot. Dziwne wzruszenie odmalowało się na jego twarzy.

Na progu nowo założonego handlu żelazem, leżał worek pełny rozmaitych papierów, starych gazet czasopism, rejestrów ekonomicznych, broszurek i podartych książek. Te szpargały i gałganki zrobiły wrażenie szczątków rozbitego okrętu, tak były porozrzucane i pomięszane. Z otwartego i w wielu miejscach dziurawego worka wylazły kartki jakiegoś almanachu, podarte i zbrukane — niektóre z nich wiatr pochwycił i igrał swobodnie po ulicy.

W tem śmiecisku Bajolein spostrzegł przedmiot, który przykuł jego wzrok.

Była to bardzo stara, skórzana okładka, zawierała ona tom w 12ce bardzo zbrukany, lecz zresztą w dobrym jeszcze stanie. Ten tom... ktoby się tego mógł spodziewać!— ten tom.. to był „kalendarz historyczny Jana de Tournes: prawdziwy biały kruk Skąd on się tam mógł wziąść? Co za dziwna igraszka losu, jaki szereg szczególnych zdarzeń, przypadków, katastrof, rzucił tę perłę pomiędzy śmiecie! Któż to zbada? A jednak fakt był niezaprzeczony, pewny, namacalny!

W Paryżu zdarzają się nawet rzeczy nieprawdopodobne — niemożliwe. Jednym rzutem oka ocenił Bajolein ten skarb. Zobaczył datę edycji „Lyon, 1562 — szerokie marginesy. blado-różowe i nie okalające każdą stronicę nie pominął w swym przeglądzie okładki obleczonej wytartą skórą. W jednej chwili zrobił przegląd całego dzieła i przekonał się, że zawiera oprócz kalendarza psalmy Marot'a z muzyką Claudyusza Gondimela. Słowem, zmierzył i zbadał odrazu całą wartość znalezionego antyku. I on trzymał tę nieocenioną zdobycz w ręku, jakby coś zupełnie zwykłego, on jej dotykał własnemi rękami — ona mu się z pewnością nie wymknie.

Właściciel handlu żelaznego pochodził Auvergne, a sam Merkury dałby się wywieść w pole przebiegłym mieszkańcom tej prowincji;

Bajolein nie był stworzonym na kupca. Radość, wzruszenie, zadowolenie zbieracza zbyt jasno malowały się na jego twarzy, by ich nie uważał zbliżający się handlarz.

— Co kosztuje ta książka? — zapytał Bajolein tonem niezbyt ze wzruszenia pewnym.

Kupiec popatrzył najpierw uważnie na pytającego — następnie na towar, który tak obojętnie nazwano książką i przekonał się odrazu że jegomość przed nim stojący ma minę amatora na exemplarz wygląda na antyk większej wartości. Wreszcie zważywszy wszystko szeroko i głęboko, odpowiedział z miną poważną i właściwym rodzinnym swym akcentem:

To warte jest pięć franków, jak obszył! Bajolein zaśmiał się w duchu, wstrzymując jednak jak mógł swą radość — wyjął szybko pięciofrankówkę, wręczył ją kupcowi i chwytając książkę pod ramię chciał odejść.

Naiwny stary! — Mój mąż się pomylił, dał się słyszeć jakiś głos — to kosztuje 10 franków. Jeżeli Auvergne'ia wydaje lu-

dzi którzy przewyższają wszystkich na punkcie przebiegłości kupieckiej, to świat jest przecie pomszczony, bo prowincja ta wydaje również kobiety.

Żona handlarza była jednocześnie jego rodaczką.

Zatrzymany w ten sposób Bajolein spostrzegł z niemiłem uczuciem siedzącą w kącie kobietę ostrych rysów, która mu się wydała nie zbyt łatwą do ustępstw — przeciwnie stanowczy wyraz jej twarzy, zaniepokoił mocno zapalonego bibliomana.

— To trochę za drogo — próbował Bajolein.

— Na amatora to wcale nie dużo.

— Przyjmijmy ośm franków — zgoda?

— Ani nawet 9·50.

W tej chwili Bajolein chcąc płacić spostrzegł z przerażeniem, że niema przy sobie tej sumy — fatalny skład okoliczności! Trzeba iść aż do domu po pieniądze!

— Dobrze! rzekł z rezygnacją, dam dziesięć franków. Nie mam przy sobie dosyć pieniędzy, za chwileczkę wrócę i zapłacę. Ale spodziewam się że tym razem już stanowczo targ ubity. Ja wracam w tej chwili.

To mówiąc wybiegł ze sklepu — przeleciał pędem kilka ulic i zadyszany wygramolił się na piąte piętro, drżąc z obawy by nie spotkać Pani Muche, przez którą musiałby się zaraz tłumaczyć. Na szczęście nie spostrzeżony przez znaną gospodynię, wpadł do swego mieszkania i pochwyciwszy pulares zawierający pieniądze przeznaczone na wydatki do końca miesiąca, wybiegł znowu i ciągle spiesząc dręczony naprzemian myślą o spóźnieniu do księgarni, to znów drżąc z obawy, czy znajdzie jeszcze swój skarb, któregoby już za nic w świecie z ręki niechciałby wypuścić — wleciał bez tchu do sklepu żelaznego. Oczekiwała nań czcigodna małżonka handlarza. Każdy inny tylko nie Bajolein, poznałby z jej miny, że się coś nowego święci. Poczciwy jednak Bajolein ani się domyślał jaka go czeka niespodzianka. Już wyjmował pulares, by zapłacić umówioną sumą, gdy miła ta kupcowa, odezwała się najspokojniej w świecie.

— To już nie będzie za 10 franków.

— Co? Czy pani żartuje?

To już nie będzie za 10 franków.

Podczas pańskiej nieobecności był tu jeden Pan który ofiarował nam 30 franków za te książki.

(c. d. n.)

ZIANRKA.

Zobaczyliśmy wreszcie przemyconego na deski teatralne jednoaktowego dziwoląga pt. „Zgromadzenie przedwyborcze“, wyszłego z pospiesznej fabryki p. Adolfa Abrahamowicza. Fabrykat ten, którego do żadnej kategorji utworów dramatycznych zaliczyć nie podobna, usuwa się z pod wszelkiej krytyki; zamordował sam siebie ukazaniem się na scenie, znęcać się zatem nad trupem nie mamy zamiaru. Nie możemy przecież zamilczeć uwagi, jaka się przy tej sposobności nasuwa — uwagi, którą dyktuje jedynie życzliwość dla autora poronionego płodu. P. Abrahamowicz przy swoim talencie i przy swej ogromnej ochocie do pisania dla sceny, mógłby zająć nie złe miejsce między pisarzami dramatycznemi, gdyby mu nie przeszkadzali jego przyjaciele, którzy tak zapamiętale okadzają go pochwałami i uwielbieniami, że te obłoki dymu woniejącego tak odurzyły p. Abrahamowicza, iż zdaje mu się, że gdy napisze na kolanie kilkanaście scen i zatutnłuje komedją, to już obdarzył ludzkość arcydziełem, godnem nieśmiertelnej pamięci. Zamiast co miesiąc lichą, niech raczej raz na rok, lecz dobrą komedję napisze p. Abrahamowicz, a literatura zamiast żalu, wdzięczność mu winną będzie.

* * *

„Kurjer lwowski“ w jednym z ostatnich numerów na czele „kroniki“ umieścił senzacyjną wiadomość, że gospodarz pewnego gościnnego domu robi na żądanie któregokolwiek ze swych gości niewidzialnym. Uważamy to za żart, ale artykulik ten jest tak pisany serjo, że niejednego z łatwowiernych czytelników w błąd może wprowadzić. Dlatego też zapytujemy szanowną redakcję „Kurjera“, czy propaguje jakieś spirytystyczne sztuczki, czy też żartuje, nawiasowo mówiąc w sposób dosyć dziwaczny? Mamy tem większe o prawo to zapytać, że na czele „Kurjera“ stoi pozytywista, który przecież trudno, żeby wierzył w bajeczne kamienie robiące człowieka niewidzialnym..

* * *

Cudze chwalicie,
Swego nie znacie,
Sami nie wiecie,
Co posiadacie!

Stary ten wierszyk można u nas powtarzać przy każdej sposobności, słysząc ciągłe gadaniny o podniesieniu przemysłu krajowego, a widząc równocześnie, że wyroby krajowe, aby mieć pokup, muszą się podszywać pod zagraniczne firmy, lub przynajmniej obce przybierać etykiety. Weźmy naprzykład papierki cygaretowe. Powszechnie rozpowszechnione i słusznie uznane za bardzo dobre są t. zw. papierki rumuńskie i francuskie, noszące nazwy „Dorobantul“, „Ramanul“, „Les dernieres cartouches“ i t. d. Na ozdobnych okładkach jako miejsce tych wyrobów wymieniony jest Paryż, chociaż właściwem miejscem wyrobu jest Sassów. Nie bierzemy za złe fabrykantowi, że używa takich okładek, on to robi tylko dla tego, że te same papierki, z polskimi napisami z pewnością przez naszych popieraczy przemysłu krajowego uznane byłyby za gorsze, za pozbawione „francuskiej“ delikatności. Widzieliśmy te same papierki w okładkach, na których były wizerunki naszych znakomitości, a choć napisy były francuskie mało znalazły pokupu, trąciło to już bowiem swojskością, a nie zagranicą.. I jakże w obec tego się dziwić, że z nas obcy kpią, jako z blagierów, którzy ciągle kraj mają na ustach, popierają jednak tylko to co z zagranicy pochodzi, czy to francuskie papierki z Sassowa, czy też francuską musztardę, wyrabianą na Zamarstynowie? Mają kompletną rację.

* * *

W pewnem tutejszem stowarzyszeniu dam statut postanawia, że zgromadzenie może się odbyć tylko wtedy, jeżeli zbierze się dziesięć pań.. Otóż w tych dniach odbyło się takie zgromadzenie, ale przybyło na nie tylko 9. członków w powłoczystych sukniach i turniurach.. Co robić, jak zaradzić wymaganiom statutu? Przewodnicząca jednak zaradziła temu; oto obecnym dwom panom, jednemu wysokiemu urzędnikowi, a drugiemu starszemu lekarzowi poleciła reprezentować jedną skombinowaną damę. Czy we wszystkiem ci dwaj mężczyźni potrafią zastąpić jedną kobietę?

ZAPISKI.

Literatura.

* Dawno oczekiwanej biografii Rafaela przez Crowego i Cavalcaselle wyszedł właśnie tom pierwszy. Dzieło to ma tytuł: Raphael, his life and works, i zawiera w 7 rozdziałach, dzieje młodości mistrza aż do chwili powołania go do Rzymu, ale z tego już pokazuje się, że cała praca spółki autorskiej będzie bez wartości. Autorowie ignorują zu-

pełnie znakomite studja Lermoliow nad Rafaelem, biorą tak zwaną „książkę“ szkiców Rafaela w akademii weneckiej za dobrą monetę.

* U Fromentina wychodzi serjami bardzo ważne dzieło: „Peintres et sculpteurs contemporains“ par J. Claretie.

* Eugéne Plon wydał: Bonvenuto Cellini, recherches sur sa via et son oeuvre.

* Bar. Charlez Davillier, jeden z najznakomitszych znawców sztuki we Francji zmarł 3. stycznia w Paryżu. Był on między innemi autorem „Hiszpanji“ ilustrowanej przez Dorégo, a najwięcej zasłużył się historji przemysłu artystycznego wybornemi studjami nad początkiem ceramiki porcelanowej w Europie, które wydał r. z.

Sztuki piękne.

* Karol hr. Lanckoroński, jak donosi All. Kunst-Chronik, przebywający od września r. z. na wschodzie, zajęty topograficznemi badaniami w Pamphilji, na południowem wybrzeżu Małej-Azji, prowadzi dalej roboty przedsięwzięte przez austrjacką ekspedycję w Gjölbaszi. Dotąd pod kierunkiem zamiłowanego w archeologji i sztuce magnata poczyniono kilka ciekawych odkryć, mianowicie przy odkopywaniu tamże świątyni doryckiej i świątyni Hekaty w Kargi.

* W katakombach San Pietro i Marcellino w Rzymie, w pobliżu mauzoleum Heleny (Tor Pignatara na via Sabicana) znaleziono niedawno taflę szklanną, w której środku znajduje się szkic wielkiej świątyni w Jeruzalem, obwiedziony pozłacanemi brzegami. Podług zapewnienia kompetentnego w tej mierze znawcy G. B. de Rossi, jestto najpiękniejszy okaz szkła, jakie dotychczas w katakombach rzymskich znaleziono.

Wychodzący w Rzymie Tygodnik filologiczny podaje opis następujący:

Na pagórku wznosi się świątynia, której front wsparty na czterech kolumnach, a szczyty ozdobione są siedmioramiennemi świecznikami. Po obu stronach świątyni wznoszą się dwie kolumny odosobnione, podczas gdy całą przestrzeń świątynię obejmującą, z trzech stron otacza portyk złożony z kolumn, a z przodu krata. Do świątyni prowadzą stopnię w górę — w pośrodku ustawiony stół, na którym znajduje się siedmioramienny świecznik, złote wazy i tym podobne insygnia izraelskie. Z boków świątyni piętrzą się dwa o kopułach budynki do wież podobne, które podług Rossiego, mają przedstawiać dwa grobowce. Dwa greckie napisy, z których jeden świątynię „Domem pokoju“ mianuje — podług Rossiego, są wielkiej typograficznej wartości i wskazują, że obraz ten jest o trzy lub cztery wieki wcześniejszy od dawniej już odkrytego. Fragment ma być niebawem ogłoszony w „Bulletino di archeologia christiana.“ Sam fragment znajduje się obecnie w Museo sacro w Bibliotece Watykańskiej.

* Rząd włoski zakupił za sumę 2,500.000 lirów pałac ks. Corsini w Rzymie wraz z biblioteką i bogatą galerją obrazów, i zamierza go przemienić na palazzo delle scienze, w którym pomieszczą się rozmaite towarzystwa uczone.

* Dla uczczenia pamięci Juljusza Hübnera zmarłego r. z, urządził syn jego w Berlinie wystawę wszystkich niemal obrazów jego, która się składa z 40 obrazów olejnych, tudzież 200 blisko rysunków, studjów i akwareli.

* Podczas poszukiwań w forum Romanum odkopano między innemi z północnej strony Basilica Giulia fundamenta łuku tryumfalnego, który archeologowie uważają za łuk Tyberjusza. Wnosząc ze szczątków nieznajdował on się na via sacra lecz na Vico Jugario.

* „Sara„ Merwarta znana dobrze i u nas a tak bardzo chwalona przez krytykę francuską, doznała nieprzychylnego przyjęcia w Wiedniu. Ranzoni sądzi, że w obrazie są tylko głowy obu figur dobrze malowane. Widocznie artyści polscy niebędą nigdy w Niemczech prorokami;

* Galerja Uffiri zakupiła niedawno obraz Carpaccia, a raczej część jego za 12.000 liwrów.

Teatr i muzyka.

* Dzienniki warszawskie donoszą, że balet tamejszy zaangażowany został na występy do Krakowa.

* Edwin Booth ukończył występy swoje w Wiedniu. Grał on Hamleta, Otella i Leara, i w tej ostatniej roli podobał się najlepiej, chociaż grał on tylko zwykłego obłąkańca, który niebył ani w jednym akcie królem.

* Berlin ma otrzymać nowy teatr ludowy dla dramatów klasycznych.

* Angello Neimann chce przedstawić „Nibelungi“ Wagnera po ukończeniu reprezentacyj w Wenecji, także w Rzymie, Medyolanie, Florencji i Belgji.

* Nowa opera Mackenziego „Colomba“ z ogromnem powodzeniem przedstawiona została po raz wtóry w teatrze Druzy Lenc w Londynie,

* Fryderyk Flotow pozostawił następujące po sobie utwory: Wielką operę zupełnie wykończoną, którą skomponował na zamówienie dyrektora Ricordi z Medjolanu. Tytuł tej opery „Sakuntala.“ Drugi utwór pt. „Muzykańci.“ Rzecz z czasu pobytu Mozarta w Mannheimie. W większej części — instrumentowany. „Zemsta kwiatów,“ melodram, na kwartet smyczkowy i fortepian. „Harfa,“ melodram. Dwa koncerty na fortepian A. i C moll, oraz też same na cztery ręce rozłożone. Ośm sonat na 4 ręce na fortepian. Kompozycję koncertową na fortepian, Mszę na cztery męzkie głosy, chór i solo. Bolero na sopran. Zbiorek 16 pieśni i wiele innych kompozycyj z dawniejszych i nowszych czasów.

Miscelanea.

(S) Cyfra X używana przez matematyków na wyrażenie niewiadomej powstała według prof. De Lagarde w sposób następujący: Starzy włosey matematycy używali na wyrażenie nieznanej w równaniu słów: cosa albo res, które albo całe pisali albo też znaczkiem zastępywali. Słowa te nie są jednak niczem innem jak tylko tłumaczeniem arabskiego: sai rzecz jak się u Arabów w Hiszpanii niewiadoma nazywała. Słowo to pisali oni tylko w skróceniu: s. Później przyjęto ogólnie w Hiszpanii w miejsce arabskiego: s, łacińskie: x.

W ten sposób przyjęto x na niewiadomą a więc nie z powodów jakoby ta litera była ostatnią w alfabecie.

Treść.

Z kwietniowym śniegiem.

Autor „Marzycieli“: Ostatni Szaraczek. (c. d.)

Pilecki Antoni: Sowy.

J. Estwoyn: Illegitimi Thori (c. d.)

Brandes Jerzy: Gustaw Flaubert. (c. d.)

Gomolicki W.: Nieprzespany sen.

Kronika naukowa.

Przegląd literacki.

Przegląd teatralny.

Przegląd muzyczny.

Poświęcenie się pana Bajolein.

Ziarnka.

Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.

Miscelanea.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Polecenie towarów!

Polecając wszystkie nazwy kawy z jednego wora i wszystkie gatunki wina z jednej beczki — jest bezczelnością. Mogę tylko towary w przednim i najprzedniejszym gatunku według nazw własnych polecać i sprzedawać:

CUKIER w głowie I. 49 II. 46 ct. za kilo.
„ w kostkach „ 52 „ 50 „ „
„ w mączce „ 48 „ — „ „

KAWA w wypróbowanych i uznanych z dobroci i wybornego smaku gatunkach:

PORTOCABELLO ZIELONA Nr. I.|80 ct. II.90 ct. III.1 zł za pół kilo.
COSTARUCCA 70 ct. . . . . . za pół k
CUBA ZIELONA Nr. 0|75 ct. . . . . „ „
PERŁOWKA ZIELONA Nr. 1·05 zł. żółta 85 ct. „ „
MOCCA ARABSKA 1 zł. . . . . . „ „
JAWA ŻÓŁTA Nr. I|80, II.|90 ct. III.|1 zł. . „ „
JAWA BRUNATNA 1·10 zł. ZŁOTA 95 ct. . „ „
HERBATA CONGO Nr. 0|1·50 zł. I.|1·75 zł. II.|2·25 III.|2·75 zł. IV.|3·25 zł. . . . . „ „
HERBATA SOUCHONG Nr. I.2·55 zł. II 2·75 zł. III.|3·25 zł. IV.|4·25 zł. . . . . . „ „
HERBATA PECCO KWIAT VI.|3·25 zł. VII.4·25 zł. VIII.|5·25 zł. . . . . „ „
WYSIEWKI HERBATY (własnych herbat) 1·50 zł.
JAMAJKA RUM Nr. I.|1 zł. II 1 20 zł. III.1·50 zł. IV.|2·25 zł. za butelkę . . . „
COGNAC FRANCUSKI WYBORNY 24-letni 4 zł. 10-letni 2·50 zł., 2-letni 1·50 zł. za butelkę.
PORTER PRAWDZIWY ANGIELSKI lepszy niż Hoffa piwo słodowe, butelka 60 ct. pół butelki 40 ct.
SOK MALINOWY prawdziwy kilo 1·60 zł. flaszka 50 i 25 ct.
POWIDŁA SŁODKIE i CZYSTE kilo 32 ct.
RODZENKI Z PESTKAMI 1 kilo 72 ct.
„ bez pestek 1 „ 80 ct.
„ czarne 1 „ 60 ct.
MIGDAŁY SŁODKIE Nr. I. 1 zł. 30 ct.
BRYNDZA wyśmienita kilo 72 ct.
ŚLEDZIE SOLONE, SARDYNKI w oliwie i occie.
SER EMENTALSKI, SZWAJCARSKI, ROMADOUR i LIMBURSKI po najtańszych cenach.
KROCHMAL przeniczny 40 ct., ryżowy 54 ct. za kilo
RYŻ włoski 48 ct., długi po 40 ct., krótki I. 26 ct. II. 32 za kilo.
WINA NATURALNE i ROZOLISY podług osobnych cenników.

KROCHMAL POŁYSKUJĄCY, dotychczas celowi najlepiej odpowiadający, przyjemny w noszeniu delikatnej bielizny, i zatrzymujący trwale białość i sztywność, którą z Niemiec, Anglii i Austrji sprowadzane nie posiadają i tylko przez szarlatańskie ogłoszenia i kolorowe opakowania błyszczą. Tylko gospodynie i osoby trudniące się praniem bielizny mogą to kompetentnie osądzić i moje dowodzenia potwierdzić. Paczka zawiera 4 pakieciki, i aby tanim ofertom za złe wyroby zapobiedz, kosztuje od dzisiaj tylko 14 ct., pojedyńcze pakieciki.

MASA WOSKOWA DO ZAPUSZCZANIA POSADZKI, nieporównanie najlepsza i długo trwająca w 6 koloraeh, a prawdziwa tylko z moją marką fabryczną i opakowaniem pudełko 60 ct.

O. T. WINKLER

we Lwowie.



Główny skład

NASION i ROSLIN

J. STACHIEWICZA

we Lwowie

pl. Marjacki liczba 11.

poleca całkiem świeżego zbioru NASIONA jarzyn, kwiatów, buraków, i traw pastewnych, koniczyny, lucerny oryginalną francuską oraz drzewa owocowe, róże, krzewy do ozdoby parków, szparagi i t. p.

Posełki na prowincji uskuteczniają się odwrotną pocztą.
Główny CENNIK NASION na rok 1883 na żądanie franco.

Nakładem księgarni F. H. RICHTERA
(W. Altenberga) we Lwowie

wyszły:

ZE ŚWIATA

OBRAZKI I HUMORESKI przez autora „Kłopotów starego komendanta“, Treść: Zemsta doktora. — Śledztwo domowe. — Na wycieczce. — Królik domowy.
Cena 1 zlr. 80 ct.

Tegoż autora

Za groszem

OPOWIADANIA. Treść: Za groszem. — Pociecha artystów. — Zięć obywatelski.
Cena 1 zlr. 80 ct.
Zajmująca treść, humor i lekkość stylu stawiają te powiastki w rzędzie najlepszych tego autora, są prawdziwą ozdobą współczesnej literatury rozrywkowej. 1

Wielki wybór pierścionków zaręczynowych.

Szpilek i pierścionków bukietowych.

J. DĄBROWSKI

przedtem J. DĄBROWSKI & L. WEIGEL

we Lwowie przy ulicy Halickiej liczba 17.
(dawniej „**W. PENTHER**".)

prócz ZEGARKÓW i ZEGARÓW z najsłynniejszych fabryk, **otrzymał wielki zapas złotych i srebrnych rzeczy.**

Szczególnie zwraca się uwagę na **ZŁOTE ZEGARKI fabryki genewskiej**

L. W. GOSTKOWSKIEGO.

jakoteż WYPRAWY WESELNE ZE SREBRA, na 6 i 12 osób w szkatułkach. Wszelkie zamówienia z prowincyi uskutecznia się jak najrychlej.

Obrączek ślubnych,

Jedyny skład na całą Galicyę **maszyn grających**

Na jesień i zimę!

Największy wybór bawełnianych, wełnianych i jedwabnych kaftaników, spodeń, pończoch i skarpetek,
wełniane kamizelki z rękawami (Jagdgilets),
wełniane i jedwabne chusteczki na szyję,
Płótna i stołową bieliznę.
Główny skład gotowej bielizny, angielskich nieprzemakalnych płaszczy, Kołnierzyków, Mankiet i Krawatek
poleca po najumiarkowańszych stałych cenach

F. S. BARDASZ

we LWOWIE naprzeciw kościoła Katedry l. 9.



DO SIEWU!

Lucernę francuzką, oryginalną czystą i pewną.
Buraki pastewne olbrzymie.
Marchew olbrzymią białą i pomarańczową.
Groch duży biały Victoria.
Trawy i wszelkie rośliny pastewne.
Len olbrzymi Rygski.
Nasiona drzew szpilkowych i liściastych.
Nasiona Jarzyn, kwiatów, i wszelkich roślin gospodarskich z ostatnich zbiorów po miernych cenach poleca

GŁOWNY SKŁAD NASION

TEOFILA ŁUCKIEGO

we Lwowie.

Cennik odseła na żądanie franco.

Jedyna fabryka na całą Galicyę
załażona w roku 1847

PASQUALE ZACCHI

we Lwowie, ulica Wałowa Nr. 2

poleca główny skład najnowszych figur z gipsu, stearynowej masy, cementu i marmuru po cenach najumiarkowańszych.

Przyjmuje zamówienia na ozdoby architektoniczne z gipsu, cementu, hydraulicznego wapna i drzewa w rozmaitych stylach podług podanych rysunków.

Zamówienia na prowincyę, uskuteczniają się w jak najkrótszym czasie, katalogi wysyła się na żądanie franco.

